



ISSN 1508-2393

PRACA nad sobą

APERIODYK MARIA WICKI
Zeszyt 71 Kraków, wrzesień 2013 r.

Czy ja należę do Boga, czy Bóg do mnie ?

Odpowiedź wydaje się natychmiastowa. Czujemy się dziećmi Bożymi i jeśli nawet wskutek naszych słabości możemy nie mieć pewności czy takie określenie mamy prawo do siebie zastosować, to w każdym razie chcielibyśmy i usiłujemy nimi być.

Uczestnicząc w murzyńskich nabożeństwach podczas pobytów w Stanach Zjednoczonych byłem zaszokowany pieśnią, której słowa głosiły „Jezus jest mój”. Znając fantazyjność duchowych pieśni murzyńskich (*negro spirituals*), w których jest mowa i o takich butach, w których można dojść do nieba i o tym, że aniołowie noszą białe pończochy i wiele innych dziwnych rzeczy, przez długi czas uważałem te słowa za oznakę szczerzej a prymitywnej

religijności, w których się nie da znaleźć poważnej treści teologicznej.

Ale kiedyś przeżywałem silną depresję i myślałem o tym, że staram się, a nawet w jakiejś mierze już należę do Jezusa Chrystusa, którego nazywam swoim Panem, a nie znajduję w tym wystarczającej pociechy. I przypomniałem sobie pierwszą zwrotkę tej murzyńskiej, naiwnej piosenki:

*Jesus jest mój, och mój!
Jesus jest mój, och mój!
Dokądkolwiek pójdę,
Gdziekolwiek potrzebuję
Jesus jest mój!*

I przeżycie tych słów nagle usunęło depresję. Jezus jest tu, koło mnie, dokądkolwiek pójdę, cokolwiek się stanie, On jest mój. Uświadomiłem sobie Jego obecność tuż przy sobie.

A potem przypomniałem sobie, że z Krzyża Jezus Chrystus powiedział uczniowi, że jego matką jest Matka Boska, ta którą my czcimy jako Matkę Nieustającej Pomocy, a Jej wskazał na ucznia jako Jej syna. A dalej Ewangelia (Jan 19:26-27) nie mówi, że Ona przyjęła ucznia pod swoją nieustającą pomoc i opiekę ale, że uczeń wziął Ją pod opiekę swoją. A przecież wszyscy rozumiemy, że to Ona pomagała Janowi do utrzymania się na wysokościach ducha, a nie on Jej.

A potem pomyślałem o dzieciach i rodzicach. Przecież jesteśmy własnością rodziców nie tylko gdy jesteśmy mali. Szacunek do nich, ich autorytet trwają (a przynajmniej powinny trwać) całe życie. Nawet wtedy, gdy na starość, dziecinnieją gdy, podlegają halucynacjom i zarzucają nam

straszne nie popelnione przez nas postęпки, gdy wreszcie tracą podstawowy kontakt ze światem i z nami, my ciągle szanujemy chociaż ich przeszłość, gdy trudno okazać szacunek dla terażniejszości. Pozostajemy w ich dyspozycji, choć teraz oni są pod naszą opieką, a nie my pod ich.

A jak to jest z zupełnie ziemską, erotyczną ale szczerą miłością między dziewczyną a chłopcem. Zarówno on należy do niej jak i ona do niego.

Uświadomiłem sobie wtedy, że mogę być pewien nieustającej opieki Bogurodzicy tylko pod warunkiem, że tak jak święty Jan, wezmę Ją pod swoja opiekę, że uznam w pełni Jej zamiary względem mnie i będę się starannie opiekował ich rozwojem w sobie, że postaram się, aby była zadowolona z tego co robię.

I to będzie prawdziwą szkołą wzajemnej miłości z Bogiem. Bóg nas kocha miłością Boską, a my nie mając najmniejszej możliwości pojęcia Boskiej psychiki, nie możemy jej naśladować. Ale Jezus Chrystus jest nie tylko Bogiem. Jest również prawdziwym człowiekiem. Kocha nas również po ludzku. I na tę ludzką Jego miłość możemy odpowiedzieć naszą ludzką miłością. Może powstać symetria będąca podstawą każdej prawdziwej miłości. Wtedy możemy powiedzieć, że my należymy do Chrystusa, ale również On należy do nas. W prawdziwej miłości nikt się nie staje niewolnikiem drugiego. Również on nam radzi, proponuje, naucza, ale pozostawia w nas we wszystkim wolną wolę. Jeśli chcemy, możemy od niego nawet odejść, ale czy chcielibyśmy odejść? Przecież Jezus Chrystus jest mój. Dokądkolwiek pójdę. Gdziekolwiek potrzebuję.

brat Paweł

NA DRODZE CHRYSZTUSOWEJ

Na to, co jest przedstawione w Biblii jako upadek grzechowy można spojrzeć bez emocji jako na **wyłączenie**. To było konieczne, aby człowiek w ogóle mógł przebyć drogę do wolności.

W tym celu jest potrzebne pewne oddzielenie od Boskich obszarów świata. Ale wskutek tego powstała również możliwość wmieszania się **zła** (diabolosa, szatana) i wywarcia przez nie wpływu na dopiero rozwijającą się istotę ludzką.

Pojawiły się przez to niebezpieczeństwa, które mogły zagrozić całości rozwoju. Stało się więc konieczne, żeby silnie atakowanemu człowiekowi dana była nie odbierająca mu wolności wysoka siła pomocy w Osobie Jezusa Chrystusa.

W tej mierze, w jakiej tę pomoc przyjmiemy, możemy dojść do nowego powiązania z Boskością.

W Chrystusie możemy rozpoznać istotę Bożą spotykającą nas w Najczystszej Postaci Człowieka. Możemy Mu się w całości oddać, nie podporządkowując się Mu ślepo, nie tracąc niczego z naszej wolności.

Staje się możliwa nowa współpraca, nowy związek pomiędzy istnieniem ziemskim i światami Bożymi. One stają się nam bliskie przez Chrystusa.

Możemy wskutek tego dostąpić powiązania z nimi zachowując naszą wolność i postawę pełnej osobowej godności. Ponieważ Chrystus dokonał ofiary zstąpiwszy na tę ziemię, może się odbyć spotkanie indywiduum ludzkiego z boską rzeczywistością, które nas nie zmiążdży.

A nawet więcej, wraz z Chrystusem możemy pokonać nasze niewolnicze poddaństwo materii. Przecież On

przez śmierć na Golgocie i sposób swego zmartwychwstania, skruszył żądło śmierci. Odczuł to w pełni przeżycia apostoł Paweł.

Krzyż na Golgocie oznajmia: W pełni Boskiej godności zanurzył się Syn Boży w nasz świat śmierci, aby dokonać w nim zmiany. Przez to my możemy się wyrwać spod władzy śmierci.

Bez potrzeby wyrzeczenia się tego co ludzkie, stało się możliwe wraz z Chrystusem wyjście ponad śmiertelność.

Ale musimy w pełnej wolności powiedzieć TAK temu, co przez Niego jako - dar miłości Boskiego świata - zostało włączone w byt ziemski. Tylko wtedy może w człowieka wstąpić to, co jest go w stanie wyratować z potęgi śmierci.

Sami nie możemy się zbawić, ale sami musimy wykonać pierwsze kroki ku Chrystusowi, abyśmy mogli rozpocząć współdziałanie z Nim. Tylko przez to staje się ono rzeczywistością.

Tego nie może wykonać za nas nikt inny. Nawet Bóg nie poniesie samotnie naszego obciążenia. To my się sami musimy o to zatroszczyć.

Dla nikogo z nas nie jest możliwe samemu dać sobie z tym radę. Aby się uporać z obciążeniami własnego losu, konieczna jest pomoc wyższego Wspomożyciela.

Odczucie wszechodnawiającej Chrystusowej siły zmartwychwstania może się stać wiosną życia człowieka. Pozwala mu to również lepiej wspierać innych w ich zmaganiach z obciążeniami.

No tak, każdy pomaga nieść ciężar innemu. Ale musimy wpierw spróbować się nauczyć obchodzenia z własnymi ciężarami. To będzie również budzącym nadzieję przykładem dla innych.

Każdy miewa momenty zwątpienia. Pomaga nam, gdy w takich chwilach ktoś nas pocieszy i da impuls zachęty do nieustawania w pracy. Łatwiej wtedy zwalczać zwątpienia.

To, że każdy cierpi w momentach zwątpień, ma również dobrą stronę. To nam pozwala dostrzec czające się w świecie zło. Pomaga rozwojowi współczucia.

Zarówno w momentach gdy znajdujemy we własnym wnętrzu to, co dobre, jak i w chwilach zwątpień przybliża się do nas Chrystus.

Jak to sformułował Dag Hammarskjöld, ten nieprzeciętny, pochodzący ze Szwecji, generalny sekretarz Organizacji Narodów Zjednoczonych, Chrystus „jest już zawsze przede mną.” Jest w „najgłębszym miejscu mojej istoty” - a również w najżywszym kontakcie ze światem.

Możemy w Nim przeżyć najgłębsze potwierdzenie Boskości w Jego Człowieczeństwie, jak również boskość mogącą się rozwinąć w każdym z nas, jeśli tylko będziemy usiłowali działać w duchu Chrystusa.

Jesteśmy więc jakby bramą. Do niej zbliża się coś z istoty Chrystusa i może przez nią darować się światu. Przez to i dla nas jest możliwe wszystko coraz głębsze i coraz wyższe.

Można to dokładniej ująć: Najwyższe łączy się z naszą istotą, jeśli ona tak, jak tylko może, jest otwarta dla innych.

Nie tracimy wtedy niczego wskutek duchowej nieświadomości, ani wskutek nacisków świata. Przeciwnie, łatwiej zachowujemy równowagę pomiędzy spełnieniem siebie samego i zewnętrznymi działaniami.

Sam Chrystus jest siłą pośredniczącą, która nam pozwala utrzymać równowagę pomiędzy pracą nad sobą i

zajęciami w świecie. Tej równowagi z siebie samych nie posiadamy.

Ale istnieje możliwość jej zdobycia. Niech każdy z nas potrafi stale na nowo rozpocząć to w stosunku do siebie i do innych ludzi.

A więc wybierzmy się na drogę. Aby świat i całe życie mogło się napełnić miłością.

Anton Kimpfler

Z niemieckiego tłumaczył brat Paweł.



A jednak „sekcjarze”...

Zatkało mnie! Po prostu mnie zatkało, choć powinno było zatkać tych, którzy wypowiedzieli słowa, dla jakich od dawna jest miejsce w lamusie historii nietolerancji polskiej. A jednak nie... Odsłuchałem dyskusję raz jeszcze, by przekonać się, że to, co się zdarzyło w czasie końcowych minut programu *Kropka nad i...* z 12 marca tego roku jednak było prawdą.¹

Bohaterami tego ze wszech miar smutnego dla wspólnoty mariawitów wydarzenia byli: redaktor Monika Olejnik, ksiądz Kazimierz Sowa (były szef kanału *Religia TV*) i doktor Kamil Sipowicz, przedstawiony jako historyk filozofii chrześcijańskiej, a do tego - jak powiedziała o nim prowadząca program - katolik przed apostazją. Rozmawiano o przyszłości Kościoła Rzymskokatolickiego oraz o tym, czy pod rządami nowego papieża sprostą on wyzwaniom współczesności. Doktor Sipowicz zaliczył do nich uczestnictwo kobiet we władzach instytucji, której najwierniejszymi członkami są właśnie niewiasty. Brak ich

¹ <http://www.tvn24.pl/kropka-nad-i,3,m/przyczyna-afery-pedofilskich-celibat-jest-czas-na-dyskusje-nad-jego-zniesieniem,311544.html>

reprezentacji i wpływu na sprawy dotyczące jednego z najliczniejszych Kościołów na świecie nazwał anachronizmem.

Ksiądz Sowa przeciął te dywagacje stwierdzeniem, że ponieważ Tradycja (uwaga: nie Chrystus, nie Biblia, lecz Tradycja właśnie) jest filarem, na którym wspiera się Kościół rzymski, a wszyscy następcy Nazarejczyka (jak i On sam) byli mężczyznami, także ci, którzy papieża wybierali od dwu tysiącleci, to dywagacje o feminizacji w tym aspekcie są bezprzedmiotowe.

Na to dr Sipowicz, sięgając do skarbicy swojej wiedzy naukowej (?!), odparł: „Chciałem powiedzieć rzecz, o której mało ludzi w Polsce wie, że w takiej małej sekcie heretyckiej zwanej mariawici, już przed wojną były kapłanki...”

Ponieważ audycję przekazywano w dwu planach i można było jednocześnie widzieć obu panów, po uczonych aż do bólu (mariawickiego bólu) słowach, oblicze księdza Kazimierza rozjaśnił radosny śmiech. Widać było, że wie o czym mowa i że on z całą pewnością należy do tej dobrze poinformowanej części Polaków. I fajno - pomyślałem sobie - zaraz ksiądz (wszak ekumenista z przekonań) przytrze nosa adwersarzowi.

Tymczasem historyk filozofii chrześcijańskiej kontynuował swoją myśl: „... już przed wojną mariawitki były kapłankami, więc mamy taką tradycję.”

Prawie jednocześnie z ust księdza i pani redaktor wyrwało się: „Mateczka Kozłowska, wszyscy to wiemy, wiemy...”

I w tym momencie, by - jak sądzę - przygnieść „rozbrykanego” zbytnio historyka filozofii, wielebny powiedział kluczowe (dla wszystkich mariawitów) słowa: „... I **wszyscy wiemy, jak ta sekta skończyła, niestety.**”

Ani pan doktor, ani pani redaktor nie odnieśli się do tych słów...

Nie od rzeczy będzie dodać, że cała dyskusja (łącznie z przytoczonymi fragmentami) przebiegała w miłej, serdecznej atmosferze. Księdzu Sowie (podkreślę raz jeszcze, do niedawna szefującemu *Religii TV*, telewizji katolickiej na pewno, a ekumenicznej w zamyśle) nawet na ułamek sekundy nie zniknął z

twarży wyraz zadowolenia i pewności siebie... Można by powiedzieć, że uśmiercił mariawityzm z uśmiechem na ustach (skoro - według niego - mariawityzm się skończył). To, co się nie udało zastępom kleru rzymskokatolickiego w latach pierwszych mariawitów (1897 - 1906), ksiądz Sowa załatwił jednym zdaniem i definitywnie - dobrze, że jedynie w przestrzeni wirtualnej...

Co wynika z tego programu? Oto widzowie, którzy o mariawityzmie nie słyszeli, dowiedzieli się, że to jakaś „mała, heretycka sekta.” Ci zaś, których wiedzę o mariawityzmie ukształtowali badacze, ale też i księża rzymscy myślący tak, jak ksiądz Sowa, otrzymali mocny sygnał, że oba - uznane przez państwo polskie Kościoły mariawickie - są jedynie sektami, których właściwie już nie ma.

I co można napisać? Jak można skomentować ten ostatni fragment audycji, którą oglądało iluś tam Polaków (*Kropka nad i...* ma dość wysoką oglądalność)?

W pierwszym odruchu - ze skruczą wyznaję - cisnęły mi się do głowy słowa mocne, zdecydowane, nawet obraźliwe. Ale gdy złe emocje odpędziłem precz - wszak nie godzi się chrześcijaninowi im ulegać - przyszła mi na myśl... piosenka autorstwa przewspaniałego tandemu Jeremi Przybora - Jerzy Wasowski, twórców *Kabaretu Starszych Panów*. W jednym z tych programów Irena Kwiatkowska wyśpiewała takie oto słowa:

*Gdy życie zdarło z faceta już maskę,
Gdy mu fasada rozwala się z trzaskiem,
Gdy zza niej wyjrzy jak małpa z pokrzywy
Pysk zły i obrzydliwy i pryśnie cały blef -
O, wtedy chociaż się pragniesz powściągać
Nie nasobaczyć i nie naurągać,
Choć inwektywą żywą nie chcesz chlustać
To same twe usta wykrzykną tobie wbrew:*

Oj, jak bardzo prawdziwe są te słowa w odniesieniu do obu panów dyskutantów. Jakże łatwo, przywołując fakty, zderzyć z nich maskę uczoności i pokazać ich rzeczywisty stosunek do tych, którzy nie są z „ich towarzystwa”. Przedziwna to koalicja:

duchowny Kościoła Rzymskokatolickiego i „kandydat na apostatę” z tego Kościoła, choć historyk filozofii chrześcijańskiej. A „w jedną dudkę dmuchali”. I to zgodnie... Radośnie... A do tego pod dyktando pani redaktor, która także aspirowała do posiadania wiedzy o mariawityzmie...

Obaj panowie i pani (zgłaszający wielokrotnie ambicję reprezentowania „światłej” części naszych obywateli i posiadania „pewnej klasy”) w ferworze debaty ujawnili, że pod zerwaną na minutę *maską* jest ów *pysk zły i obrzydliwy* zarówno pokazowej poprawności politycznej, jak i - przepraszam wrażliwych - w gruncie rzeczy fasadowego stosunku do ekumenizmu, jaki prezentuje wielu, bardzo wielu naszych braci z Kościoła Rzymskokatolickiego. Ksiądz Sowa dał popis owej fasadowości...

Dla mnie zacytowane wyżej wypowiedzi „uczonych mężów” dyskwalifikują jednego - jako nauczyciela akademickiego, drugiego - jako duszpasterza. Co więcej, szczególnie słowa księdza (choć może to być odebrane jako moje przewrażliwienie) przekreślają dotychczasowe „gesty ekumeniczne” hierarchów bratniego Kościoła dominującego. I to jest bardzo ważne stwierdzenie, bowiem przykre dla mariawitów opinie wygłosił duchowny owego Kościoła. Za takie słowa (wiem, co mówię!) w każdym innym, niż Polska, demokratycznym kraju, ich autor najpierw by przeproszał (publicznie!), a potem długo nie byłby zapraszany do jakichkolwiek rozgłośni i stacji telewizyjnych. A u nas - właśnie z powodu tej dominacji - nie sądzę, aby cokolwiek podobnego się zdarzyło. U nas „rozrabiający” celebryci są nadal w cenie...

W tej sytuacji, *choć się pragnę powściągać, nie nasobaczyć i nie naurgać. Choć inwektywą żywą nie chcę chlustać, to same usta wykrzykują* to, co wyśpiewała Irena Kwiatkowska. A o kim śpiewała - zapytacie Państwo? A tego to już sami sobie dojdźcie... Zdaję się na Waszą domyślność. Kto zna piosenki *Starszych Panów*, ten wie, co wyśpiewała pani Kwiatkowska, a kto ich jeszcze nie zna, niech pozna. Warto!

Tylko wielka szkoda, iż z powodu tak smutnego, że oto nadal mariawityzm uznawany jest przez wielu (nawet tak zwanych świątłych Polaków świeckich i, niestety, rzymskich

duchownych) za „małą heretycką sektę, która, niestety, źle skończyła”... Bo to, o czym napisałem, to nie był kabaret - to była polska rzeczywistość. Jaka? A nazwijcie ją wedle uznania... I tak każda odpowiedź będzie zasadna i prawdziwa...

Krzysztof Mazur

Komentarz Redakcji:

Drodzy czytelnicy! Od pierwszych zeszytów naszego aperiodyku staraliśmy się nie zajmować błędami innych zgromadzeń zakonnych, czy innych wyznań. Naszym celem jest wyjaśnianie spraw wiary - zwłaszcza trudniejszych - w kościołach i zgromadzeniach skupiających mariawitów. Czasem krytykujemy wspólne błędy występujące i u nas i gdzie indziej. Unikamy natomiast kontrowersji z innym wyznaniem chrześcijańskimi. Raczej staramy się te inne zrozumieć, opisać je w dziale „poznajmy bratnie wyznania”, znaleźć co w nich jest pozytywnego, lub po prostu wspólnego z nami. Otrzymawszy przedstawiony powyżej alarmujący artykuł Krzysztofa Mazura głębokośmy się zastanowili, co robić. Nasze pismo wychodzi zbyt rzadko, aby można było w nim prowadzić aktualną dyskusję. A nie jest to pierwsze publiczne wydarzenie, gdy się musieliśmy zastanowić, co się tu właściwie dzieje. Takie pytanie stawialiśmy sobie niejednokrotnie, ale dotąd nie ośmieliliśmy na nie sami odpowiedzieć. Ponieważ wśród naszych Drogich Czytelników mamy *bona fide* ekumenistów należących do Kościoła Rzymskokatolickiego, zwracamy się z gorącą prośbą właśnie do nich: Poinformujcie nas po pierwsze, czy ks. Kazimierz Sowa występujący w opisanym incydencie publicznie jako przedstawiciel rzymskiego katolicyzmu został przez swoich zwierzchników upomniany. Jeśli tak, to czy tylko za brutalną formę, czy również za treść? A po drugie, czy uważacie, że Wasze - dominujące w Polsce - wyznanie rzymskokatolickie jest w istocie ustawione ekumenicznie i tylko czasem zdarzy mu się jakiś niechcący fanatyczny, złośliwy wyskok, czy też jest wyznaniem z istoty fanatycznym, traktującym wszystkich innych za heretyków, a tylko w niektórych swoich agendach okazującym zewnętrznie cechy ekumeniczne, bo tak wypada w dzisiejszej epoce.

A może i ksiądz Sowa napisałby sam, jak on to widzi?

Każdą wypowiedź chętnie opublikujemy.

Redakcja

Z przedstawionych nam problemów

JESZCZE O RELIGII JAKO O SYSTEMIE ETYCZNYM

Szczere wyznania poglądów dwóch naukowców, autorów i redaktorów naukowych wydawnictw Tomasza Kwasta („Praca” zeszyt 68, s.9) i Bogdana Wszółka („Praca” 69 s.24) spowodowały dyskusję o etyce religijnej ogólnie, starotestamentowej i chrześcijańskiej (ostatnio zeszyt. 70. S.9). Tego tematu dotyka w pewien sposób również list czytelnika podpisanego Franek (zeszyt 70, s.30). Uważam, że wszyscy dotychczasowi uczestnicy dyskusji pozwolili w sobie wmówić, że etyka jest drugą stroną religii, jakby świecką religią. Pochodzi to chyba stąd, że niektóre systemy szkolne - w tym system polski - oferują uczniom do wyboru naukę religii lub etyki. Oczywiście etyka ma sporo wspólnego z religią, ale jedna z nich nie może zastąpić drugiej. Znakomicie pozwolił to sobie uświadomić dowcip rysunkowy w „Polityce” sprzed kilku miesięcy. Do drzwi pukają ksiądz z kropidłem i świecki etyk z teczką. Otwierającą im mieszkankę pytają: „czy pani przyjmie po kolędzie księdza, czy etyka?”

Etyka może być ateistyczna, agnostyczna lub religijna. Człowiek etyczny to ten, co postępuje zgodnie z uznanymi (głoszonymi) przez siebie zasadami. Kto czasem postąpi inaczej niż opiewają wyznawane przez niego zasady, okazuje na ogół tylko słabość charakteru. Religie nazywają takich po prostu grzesznikami. Ludzi (prawie) zawsze wykazujących w codziennych działaniach przekonania etyczne jest niewielu (w religii to święci). Większości czasem zdarza się grzeszyć. Pojęcie grzechu można tu znakomicie rozciągnąć poza domenę religii. Natomiast kogoś świadomie działającego w sprzeczności z zasadami, do których się oficjalnie przyznaje, nazywamy zakłamanym. Zakłamanym jest zarówno kapłan jak świecki moralista przykazujący wierność małżeńską, a sam potajemnie zdradzający żonę w nadziei, że nikt tego nie wykryje. Zakłamanym

jest południowoeuropejski sędzia oficjalnie zwalczający przestępstwa, a faktycznie należący do mafii....

Nie tylko różne stosunki do własnej moralności bywają podobne u ludzi wyznających jakąś religię i całkowitych ateistów. Również same wyznawane systemy moralne nie mieszczą się w granicach wyznań. W poprzednim zeszycie „Pracy” siostra Romenko zadała sobie gwałt starając się sobie wyobrazić, jak działałaby na nią zasady chrześcijańskie z „Kazania na górze”, gdyby była zupełną materialistką. W jej artykule odczułem wytężony, szlachetny wysiłek, ale niestety sztuczny i stał sugerując nieprawdę.

Sądzę, że dr Kwast - nie będąc teologiem - może trochę niefachowo mówiąc o zasadach chrześcijańskich odniósł się tylko do żydowskich dziesięciu przykazań z Synaju. W rzeczywistości wykazał w swoim artykule, że czuje on również piękno Chrystusowych zasad zawartych w dziewięciu błogosławieństwach „Kazania na górze”. Ateistów uznających etykę chrześcijańską jest wielu, nie tylko wychowanych w chrześcijańskich rodzinach.

A byli również teolodzy, dobrze znających duchowe uzasadnienie piątego błogosławieństwa dla miłosiernych i dziewiętego dla prześladowanych ze względu na Chrystusa, a torturowali myślących inaczej niż oni. Nie sądzmy, że inkwizytorzy wymarli wraz ze zmianą nazwy *Świętego Oficjum Inkwizycji Rzymskiej i Powszechnej*.

Dlatego o ile za sztuczny i jakiś nierealny uważam opis siostry Romenko rzekomego podejścia ateisty do dziewięciu błogosławieństw, bo to nie podejście ateisty, ale podejście skrajnego egoisty, o tyle za najważniejszą jej myśl uważam wypowiedzianą w zakończeniu artykułu, że wielu ateistów nie tylko odczuwa piękno zaleceń moralnych Chrystusa, ale te zalecenia dla ich piękna wykonuje, oraz ewangeliczne stwierdzenie, że przy „końcu świata” zostaniemy osądzeni według czynów, a nie według poglądów. To uznaję za najistotniejszą tezę tego artykułu

A na ostatek bojąc się nieporozumienia, proszę aby nikt nie uważał, iż głoszę „wszystko jedno w co wierzysz”. Tę sprawę omówiłem bliżej w tak zatytułowanym artykule („Praca nad sobą” 14, s.1, 1999) i pokazałem, że czasem zły charakter uzupełniony prawidłową wiarą jest dużo lepszy, od znakomitego charakteru poddanego wierze błędnej. Kto chce niech zajrzy do dawnych zeszytów „Pracy”, własnych odłożonych, dostępnych w internecie lub w niektórych większych bibliotekach.

brat Paweł



DWA AFORYZMY

Pisarz rzadko potrafi opisać to, co czuje. Ale powinien przynajmniej czuć to, co pisze.

Są trzy rodzaje radości: radość z tego, co było, z tego, co jest i z tego, co będzie. Pierwszą często nazywamy wspomnieniem, a ostatnią - nadzieją. Tylko radość z chwili obecnej jest prawdziwa..

Honorata Korpikiewicz



TRZY LOGIONY

*Rzekł Pan do czasu
nie oglądaj się
idź!
albowiem Ja zawrócę cię
do kolebki dni*

*Rzekł Pan do nadziei
jak mech
jak porosty bądź nikła
albowiem ja ześlę wiatr
co drzewa
i wszystką trawę
wytrze*

*Rzekł Pan do człowieka
twój ruch
Ja
czekam*

Jan Stalony-Dobrzański





CHCĘ TOBIE, BOŻE...

Chcę Tobie, Boże, służyć całe życie
Jedynie Tobie oddać się w ofierze
Do Ciebie płynąć w przeczystym błękiecie
W głębokiej wierze.

Chcę Tobie zagrać na moich skrzypeczkach
Chcę Tobie zagrać na błękitnej fali
Chcę Tobie zagrać na złotych gwiazdeczkach
Co błyszczą w dali.

Chcę Tobie, zagrać na mej duszy strunach
Chcę Tobie zagrać na promieniach Słońca,
Nic tonów moich niechaj nie zagłuszy
Ach! Grać bez końca!

Chcę Tobie zagrać na kropelkach rosy
Chcę Tobie zagrać przymknawszy powieki
Chcę by płynęła ta pieśń pod niebiosy
Płynęła na wieki.

Maria Korpikiewicz



Poznajmy bratnie wyznania

ANGLIKANIZM

Kult Bogurodzicy

Kilka lat temu odwiedziłem w Wielkiej Brytanii swego byłego proboszcza - anglikańskiego karmelitę, który po latach postugi kapłańskiej na kontynencie powrócił do rodzinnej Walii. W trakcie pobytu starałem się oczywiście zobaczyć jak najwięcej miejsc związanych z historią brytyjskiego chrześcijaństwa. Najważniejszym z nich było miasteczko Glastonbury w hrabstwie Somerset. Według legendy święty Józef z Arymatei przybył tutaj wraz z Matką Bożą, przywożąc ze sobą świętego Graala - kielich użyty przez Jezusa w trakcie ostatniej wieczerzy, w który w czasie męki krzyżowej zebrał krew Pańską, aby zachować ją dla potomności. To właśnie święty Józef miał zbudować tu pierwszy kościół na Wyspach, będący jednocześnie najstarszym kościołem chrześcijańskim świata. Ta chrześcijańska legenda przeplata się w przedziwny sposób z podaniem, według którego Glastonbury to nic innego niż mityczny Avalon - legendarna siedziba słynnego króla Artura. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że na długo przed chrystianizacją było ono ważnym ośrodkiem kultu celtyckiej Bogini Matki, który następnie uległ chrystianizacji i przeszedł w kult poświęcony Najświętszej Marii Pannie, w języku angielskim nazywanej najczęściej *The Blessed Virgin* - *Błogostawioną Dziewicą*. W VII wieku powstało w tym miejscu benedyktyńskie opactwo, które najprawdopodobniej

kontynuowało tradycje wcześniejszego klasztoru mnichów iroszkockich. Istniało ono do roku 1539, gdy złupić je i obrócić w ruinę wojska Henryka VIII. Ostatni opat, Richard Whiting, został wówczas powieszony jako zdrajca a jego zwłoki poćwiartowano. Majestatyczne ruiny wciąż jednak wznoszą się nad miasteczkiem, zaś na ich zapleczu powstał... ośrodek rekolekcyjny miejscowej diecezji Kościoła Anglii. Zarządzająca tym Kościołem, brytyjska monarchini, otrzymuje zaś co roku w prezencie od miejscowego proboszcza bukiet maleńkich białych kwiatków, które rozkwitają w środku zimy na słynnym "Cierniu z Glastonbury", którego protoplastą była, jak głosi podanie, laska Józefa z Arymatei. Poświęcam tyle uwagi Glastonbury przede wszystkim dlatego, że jego dzieje i wiążące się z nim legendy stanowią dobrą ilustrację kolei losu, jakie przechodziła duchowość maryjna w Kościele Anglii i szerzej - w anglikanizmie. Była już mowa o legendarnych prapoczątkach brytyjskiego chrześcijaństwa. Wiemy o nich niezbyt wiele ale to, co wiemy, wskazuje na istnienie na Wyspach na długo przed misją świętego Augustyna z Canterbury przebogatej tradycji celtyckiej (iroszkockiej) o własnej duchowości opartej na wzorcach monastycznych i wielkim zapale misyjnym. Przedstawicielami tego nurtu byli między innymi słynny adwersarz świętego Augustyna z Hippony, mnich Pelagiusz (IV/V wiek), a także wybitny myśliciel Jan Szkot Eriugena (810-877). Wiele czasu zajęło i wiele trudu przysporzyło benedyktyńskim misjonarzom, którzy reprezentowali "rzymski" model chrześcijaństwa, stopniowe pozbawianie iroszkockiego chrześcijaństwa jego specyfiki. Symbolem tych zmagania stały się przede wszystkim dwie kwestie: data świętowania Wielkanocy i ujednoczenie reguły zakonnej (między innymi wprowadzenie jednolitej tonsury mniszey). Obydwie rozstrzygnął na korzyść "opcji

rzymskiej” Synod w Whitby (664 rok), aczkolwiek lokalnie tradycja iroszkocka przetrwała jeszcze do wieków XII-XIII. Co więcej, pewne jej elementy przejmowali również wierni Rzymowi benedyktyni, którzy nie tylko w Glastonbury zakładali swoje klasztory, ale i w innych miejscach, gdzie wcześniej kwitł monastycyzm iroszkocki i często okazywali się podatni na wpływy duchowości, która tam od wieków pielęgnowano. Jedną z jej cech było silne poczucie ciągłości tradycji, która swymi korzeniami sięgała czasów przedchrześcijańskich. Mnisi iroszkoccy uważali się nie tylko za naśladowców Chrystusa, ale również za spadkobierców celtyckich druidów. W ruinach opactwa w Glastonbury znajduje się ołtarz, na którym, według legendy, jeszcze właśnie druidzi składali ofiary swym bogom. Właściwie nie istnieją świadectwa historyczne, które wskazywałyby na to, iż chrystianizacja celtyckiej ludności Wielkiej Brytanii przebiegała z użyciem przemocy. Oczywiście, niektórzy mocno idealizują ten proces, ale nawet wystrzegając się takiej idealizacji trzeba przyznać, że toczył się on w stosunkowo harmonijnym trybie - jakby panująca tu dotąd religia starożytnych Celtów w jakimś stopniu naturalnie otworzyła się na przyjęcie ożywczego impulsu Chrystusowego.

W ten sposób również celtycki kult Bogini Matki uległ stopniowej chrystianizacji, a pogańskie centra kultowe, jak Glastonbury, stały się ośrodkami kultu maryjnego, co się okazało niezwykle podatnym gruntem dla jego rozwoju na Wyspach. Z czasem do Glastonbury dołączyło również Walsingham w hrabstwie Norfolk i kilka pomniejszych ośrodków. W Cambridge święty Szymon Stock, doznał w roku 1251 wizji, w której Matka Boża przekazała mu brązowy szkaplerz karmelicki, obiecując noszącym go swoją opiekę doczesną i wieczną. Szkaplerz oparty na tym

objawieniu, choć już nie brązowy, należy również do pełnego stroju zakonnego Zgromadzenia Mariawitów. Ze szczególnego nabożeństwa do Błogostawionej Dziewicy znani byli święci: Ryszard z Chichester, Anzelm z Canterbury i Tomasz Becket (wszyscy oni zostali upamiętnieni również w anglikańskim kalendarzu liturgicznym). Średniowieczna pobożność maryjna spotykała się jednak również z krytyką. Krytykowali ją humaniści z kręgu zwolenników Erazma z Rotterdamu, na czele z przyjacielem Erazma i wiodącym angielskim humanistą, Tomaszem Morusem. Krytykowano nie tylko wybujałe formy maryjnej dewocji, ale również głęboko zakorzenione wśród ludzi - aczkolwiek nie mające poparcia w oficjalnym nauczaniu Kościoła - przekonanie o tym, że Matka Boża spełnia rolę pośredniczki obok, a niekiedy nawet w miejsce, Chrystusa. Wiązało się ono z obrazem Boga jako surowego, karzącego Ojca, któremu przeciwstawiano łagodną, pełną zrozumienia dla ludzkich słabości Błogostawioną Dziewicę.

Tę krytykę podjęli również angielscy reformatorzy, kładąc nacisk na Jezusa Chrystusa jako jedyne go pośrednika między Bogiem i ludźmi (reformacyjne *solus Christus*). Obok krytyki angielska reformacja miała jednak również wiele pozytywnego do powiedzenia o roli Matki Bożej w dziele zbawienia. Dzięki Jej słynnemu *niech mi się stanie według słowa Twego* Syn Boży stał się człowiekiem. Cranmer, podobnie zresztą jak Luter i Kalwin, przyjmował nauczanie Kościoła pierwszych wieków o dziewictwie Marii i w każdym razie nie odrzucał przekonania o tym, że była Ona wolna od grzechu. Zarówno w kolekcji jak i w prefacej przeznaczony na Boże Narodzenie *Modlitewnik Powszechny* określa Matkę Bożą mianem *Przeczystej Dziewicy (a pure Virgin)*. Liczbę świąt maryjnych ograniczono (według *Modlitewnika* z 1561 roku) do pięciu: Poczęcia, Narodzin,

Zwiastowania, Nawiedzenia i Oczyszczenia Błogosławionej Dziewicy. *Modlitewnik* nie przewidywał święta *Zaśnięcia/Wniebowzięcia Marii Panny*, które zostało przywrócone dopiero w niektórych nowszych wydaniach (np. szkockim i kanadyjskim). Co ciekawe, nie zlikwidowano natomiast zwyczaju bicia w dzwony kościelne na *Aniot Pański*.

Kim jest jednak współcześnie Matka Boża dla przeciętnego anglikanina? Podobnie jak w przypadku pobożności sakramentalnej i tutaj wiele zależy od tego, na którym "skrzydle" anglikanizmu się on znajduje. Są anglikanie, którzy z trudem wypowiadają słowa *Pozdrowienia Anielskiego*, a zwłaszcza drugą część tej modlitwy (*Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi...*) wręcz nie chce im przejść przez gardło. Są jednak i tacy, którzy z przekonaniem podpisują się pod słowami księdza George'a D. Carletona, który w *The King's Highway* pisał: "Akt końcowy, trwających przez wieki, Bożych przygotowań do Wcielenia polegał na tym, że Bóg wybrał niewiastę, od Której Jego Syn miał przyjąć ludzką naturę i z Której miał się narodzić. Tą niewiastą była żydowska dziewczyna o imieniu Maria. Ze wszystkich kobiet, które kiedykolwiek żyły na świecie, tylko Ją, w jej nieskazitelnej czystości i świętości, uczyniono godną tak wielkiego zaszczytu. Nikt inny nie został tak obficie obdarowany przez Boga. Nikt inny nie otrzymał tak wspaniałej łaski. Dzięki łasce, którą Bóg Ją obdarzył, była Ona w stanie przejść przez życie bez najmniejszej skazy grzechu. W ten sposób została cudownie przygotowana przez Boga na swoje cudowne macierzyństwo. Skoro Maria została tak wielce uwielbiona przez Boga, godna jest otrzymywać od nas większy szacunek aniżeli każda inna istota ludzka lub którykolwiek ze świętych aniołów. Zawsze mówimy o Niej jako o Błogosławionej

Marii, jak sama przepowiedziała: Albowiem Błogostawioną zwać mnie będą wszystkie pokolenia. Błogostawiona jest w swej czystości i pokorze; błogostawiona w byciu Matką, od której Bóg Syn wziął ludzkie ciało i umysł i duszę, oraz wszystko to, co się składa na naszą ludzką naturę; przede wszystkim zaś błogostawiona w swym doskonałym posłuszeństwie woli Ojca Niebieskiego". Zarazem jednak niezwykle ważne dla anglikanów jest to, aby świadomość tej wysokiej pozycji Błogostawionej Dziewicy nigdy nie przestoniła nam prawdy o jej człowieczeństwie. W swych rozważaniach inspirowanych ikonami Matki Bożej (*Ponder These Things. Praying with Icons of the Virgin*) arcybiskup Rowan Williams zawarł bardzo znamienne zdanie: *"Poza dostojnymi postaciami z ikon, możemy dostrzec coś mocno i nieuporządkowanie ludzkiego"*. Te słowa przypominają mi pewne drobne wydarzenie, które miało miejsce w trakcie konferencji *Przybliżamy Kościół Episkopalny* w marcu ubiegłego roku w Krakowie. Brat Paweł opowiadał właśnie o mariawickim podejściu do osoby Matki Bożej jako zasadzającym się nie tyle na kulcie maryjnym co przede wszystkim na wezwaniu do naśladowania Marii w Jej - przynajmniej na zewnątrz - bardzo zwyczajnym człowieczeństwie. Siedzący obok mnie i przysłuchujący się biskup Pierre Whalon cicho skomentował słowa brata Pawła: *"Z tym ujęciem mogę się zgodzić w pełni"*.

We wrześniu 2008 roku miało miejsce historyczne wydarzenie. 104. arcybiskup Canterbury, duchowy zwierzchnik światowej Wspólnoty Anglikańskiej, wziął udział w pielgrzymce do Lourdes i wygłosił tam kazanie. Wzbudziło ono wielkie zainteresowanie i niemało kontrowersji, przede wszystkim z tego powodu, że ze słów arcybiskupa można było wywnioskować, iż akceptuje on autentyczność objawień z Lourdes, co w oczach bardziej protestancko nastawionych

anglikanów na pewno nie jest takie oczywiste. Arcybiskup Rowan mówił o Matce Bożej jako o zwiastunce, "misjonarce", "głosicielce Ewangelii", podkreślając, że tę rolę spełnia Ona zarówno na kartach Pisma Świętego jak właśnie w Lourdes. Jednocześnie zwrócił też uwagę na znaczenie naszej własnej postawy. *"Powinniśmy się modlić - powiedział - aby zstąpiła na nas i ostoniła nas, odnowionych i zaskoczonych w tym świętym miejscu, moc Ducha Świętego, abyśmy nieśli Jezusa, dokądkolwiek pójdziemy, z nadzieją, że radość będzie płynąć z serca do serca przy każdym spotkaniu z ludźmi; i aby obdarowano nas odwagą poszukiwania tej radości i wstuchiwania się w nią w naszym wnętrzu, gdy jasność dobrej nowiny wydawać się będzie bardzo daleka, a niebo pokryje się chmurami"*. Sadzę, że takie ujęcie naśladowania Matki Bożej może zainspirować również mariawitów.

Chociaż pielgrzymka arcybiskupa Canterbury do Lourdes wzbudziła kontrowersje, samo pielgrzymowanie do miejsc poświęconych Matce Bożej od dawna nie jest już obce anglikanom. W 1922 odtworzono figurę Błogosławionej Dziewicy z Walsingham i już na początku lat trzydziestych w odnowionym sanktuarium pojawiły się gromady pielgrzymów. Warto zauważyć, że pomniejszona kopia tej figury, ofiarowana w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia przez pierwszego anglikanina - członka Zgromadzenia Mariawitów, znajduje się w centralnym miejscu ołtarza kaplicy w siedzibie tegoż Zgromadzenia w Stoczku. W czasie uroczystych nabożeństw na tle tej figury ustawia się tam monstrancję z Hostią do adorowania. Wygląda to tak jakby Najświętsza Maria Panna sama wskazywała nam na potrzebę adoracji monstrancji zawierającej Ciało i Bóstwo Jej Syna.

Będące w oficjalnym użyciu liturgicznym wydania *Modlitewnika Powszechnego* nie zawierają żadnych modlitw kierowanych do Błogosławionej Dziewicy, aczkolwiek bez większego trudu można w nich znaleźć odniesienia do Jej osoby jako przykładu do naśladowania. Natomiast wspomniany już *Saint Augustine's Prayer Book* zawiera, obok *Pozdrowienia Anielskiego* i modlitwy *Anioł Pański*, przeznaczonych na każdy dzień, modlitwę różańcową, *Litanie Loretańską* oraz cały szereg hymnów i antyfon maryjnych. W Kościele episkopalnym hiszpańskojęzyczni konwertyci z rzymskiego katolicyzmu przynieśli ze sobą nabożeństwo do Matki Bożej z Gwadelupy. Nie należy również zapominać, że największa diecezja tego Kościoła nie znajduje się wcale w Stanach Zjednoczonych lecz w Haiti, którego patronką jest Matka Boża Nieustającej Pomocy. Gdy jesienią 2011 roku wraz z bratem Serafinem z koła świętego Willibrorda w Holandii odwiedziłem Amerykańską Katedrę w Paryżu, aby omówić z biskupem Pierrem Whalonem, szczegóły projektu *Przybliżamy Kościół Episkopalny w Polsce*, powitała nas, znajdująca się w katedrze kopia częstochowskiej ikony Matki Bożej. Zabawne jest, że jak opowiadał biskup Pierre, nikt nie wie, skąd się tam właściwie wzięła, ale jej obecność dobitnie świadczy o tym, że ze wszystkich Kościołów reformacji anglikanie zachowują bez wątpienia największą otwartość wobec duchowości maryjnej.

Rozpocząłem to wprowadzenie od stwierdzenia, że pisać o anglikanizmie nie jest łatwo. Jedną z przyczyn stanowi to, co skądinąd szczególnie cenię w tej tradycji: jej rozpiętość, rozległość, pojemność, albo - jak to się określa po angielsku - jej *comprehensiveness*. Napawa nas dumą, że nasza tradycja to taka "mała ekumenia" zawierająca w sobie niemal wszystkie możliwe typy

duchowości i prądy teologiczne, które poza anglikańskim kontekstem stanowiły wystarczający powód do powstania nowych wspólnot kościelnych, a w ramach anglikanizmu, mimo wszystkich trudności i “zakrętów historii”, jednak jakoś trzymają się razem. Z drugiej strony zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że w oczach wielu jawimy się niekiedy jako pozbawieni jasnej tożsamości i eklektyczni. Od czasu do czasu sam zadaję sobie pytanie, czy w tym silnie spolaryzowanym i zantagonizowanym świecie, w którym ludzie tak często poszukują tego, co dzieli, zamiast tego, co łączy, w którym tak często króluje tożsamość oparta na negowaniu, a w każdym razie kwestionowaniu tego, co istotne i drogie dla innych ludzi, jest miejsce dla takiego podejścia do chrześcijaństwa jak to, które reprezentuje anglikanizm, gdzie można przejść drogę od ortodoksyjnego kalwinizmu do trydenckiego katolicyzmu bez zmieniania przynależności kościelnej. Oczywiście, każdy z nas, anglikanów, gdzieś się w tym spektrum odnajduje i to powoduje kolejną trudność. Gdy zabieramy głos, prezentujemy wizję, na którą rzutuje nasza własna duchowość. Ja również zdaję sobie sprawę, że ktoś inny stworzyłby tekst odmiennej treści i o innym charakterze, i nie byłby on z tego powodu “mniej anglikański”. Dlatego chciałbym podkreślić, że to, co napisałem, nie rości sobie pretensji ani do bycia obrazem kompletnym, ani definitywnym. Pomimo dużych rozmiarów, jest to raczej nie pozbawiony akcentów osobistych szkic. Mam jednak nadzieje, że udało mi się w nim wyjaśnić kilka nieporozumień, odpowiedzieć na kilka pytań, rozwiązać pewne wątpliwości, a przede wszystkim dać wejrzenie w bogactwo tradycji, która stała się moją własną tradycją.

brat Izaak



Mariawicki rachunek sumienia

Poniższy artykuł został nadesłany na przełomie wieków, po obchodach stulecia objawienia Dzieła Miłosierdzia, a przed obchodami innych ważnych setnych rocznic mariawityzmu. Nie zamieściliśmy go wtedy, gdyż wydawał się zbyt pesymistyczny. Dziś, gdy widzimy pozytywne skutki aktywnej pracy wydawniczej i misyjnej kilku kościołów mariawickich w Polsce i innych krajach, gdy Zgromadzenie Mariawitów znalazło uznanie niektórych denominacji wyznaniowych na kilku kontynentach oraz sympatyków i członków spośród ich wyznawców, zamieszczamy ten artykuł, dla porównania ówczesnej dość smutnej sytuacji z dzisiejszymi osiągnięciami, które napawają nadzieją na dalszy rozwój Dzieła Miłosierdzia.

„...-Pójdą? Pójdą! A dokąd? Gdzie? Do kozłowitów, mankietników? Próbowali kozłowici i kogo odciągnęli? Paru wyrzutków. Ci im zostali i ma diabeł swoją uciechę. A reszta wróciła. To minęło. Teraz kto? Gdzie pójdzie teraz? – Tak całkiem odejść wiadomo nikt się nie ośmieli. Ale trochę... dlaczego nie? Pogadają po cichu, pogadają. A do gadania to właśnie teraz są ośmieleni”

Ewa Szelburg Zarębina – *Miasteczko aniołów.* (str.142)

Minęło już stulecie ruchu mariawickiego. Odwołując się do tej rocznicy nie mam zamiaru włączyć się w kolejny nurt rocznicowy. Pragnę – jako członek społeczności mariawickiej - dokonać rachunku sumienia. Zastanówić się nad tym, czego nie daliśmy społeczności wierzących, w czym zawiedliśmy równocześnie nie odpowiadając swemu powołaniu. Rozważyć, co należy zrobić, aby ruch mariawicki ożywić.

Niepodważalne jest twierdzenie, że aby idee mogły być podjęte i kontynuowane przez ludzi, muszą trafić na podatny grunt społeczny. Bogu determinizmu przypisywać nie sposób. Jednak w swym działaniu – jak to wykazuje Pismo Święte – Bóg zsyłał na ziemię proroków, lub objawiał Swą wolę zawsze, gdy tego zachodziła potrzeba. Ziarno nauki Bożej padało wtedy na podatny grunt i owocowało. Jeśli nawet owocowanie to dokonywało się z pewnym opóźnieniem, zawsze przynosiło efekty w postaci zwiększonej łączności ludzi z Bogiem. Dzieło Miłosierdzia od początku trafiło na podatny grunt. Przyjmowanie Dzieła przez ludzi odbywało się spontanicznie. Potem ruch ten wyhamował w swej ekspansji i stał się ideą garstki ludzi. Różne ku temu były powody. Zastanówmy się w ramach naszego, mariawickiego rachunku sumienia, dlaczego tak się stało.

Zasady Dzieła Miłosierdzia głosili i ruch mariawicki tworzyli ludzie będący - jak cała społeczność ludzka - istotami ułomnymi pod wieloma względami. Człowiek potrafi najwznioślejszą - nawet Boską - ideę zmarnować przekładając ją na swój sposób myślenia i praktykowania. Faktem jest, że chrześcijanie, nawet bardzo zaangażowani w sprawy wiary, błędzili i naginali myśl Boga do zakresu swego umysłu. Nie bezzasadnie poeta pisał o człowieku, że „**takie widzi świata koło, jakie tępymi zakreśla oczy**”. Wobec tego i mariawici podlegają tym samym prawom, które rządzą resztą społeczności ludzkiej. Ponad sto lat temu zawierając Boskiemu posłannictwu Mateczki „zaśpiewaliśmy Panu pieśń nową”. Chęci mieliśmy ogromne, aby Bożemu wyzwaniu sprostać. Pragnęliśmy „**wyczyścić stary kwas, aby zostać nowym zaczynem**” (I Koryntian 5:7). Otrzymaliśmy od Boga talenty pod postacią Dzieła Wielkiego Miłosierdzia i jedni talenty zmarnowali „skrywając je w ziemię”, niektórzy sprzeniewierzając się swemu powołaniu zeszli z drogi Boga, jeszcze inni uznali odmienne wartości za istotne w ich życiu. Kierując się swoiście pojętą wolną wolą zawiedliśmy Boga i ludzi. Mieliśmy zaświadczać nasze Boże synostwo, a dość szybko zaczęliśmy schodzić z drogi wybranych. Otrzymaliśmy od Boga Dzieło wielkiej wartości i zaczęło ono w naszych rękach tracić swe walory. Wiemy, że Dzieło to wymagało na ziemi rąk artystów, a my w praktyce byliśmy tylko wyrobnikami o niewielkich kwalifikacjach w zakresie ducha. Ale nawet wyrobnik, który dołoży szczególnej staranności, potrafi dzieło konserwować aby je przekazać we właściwe ręce. Nam nawet zwykłej staranności często zabrakło. Dlaczego tak się stało nie próbujemy dociec. Jest nam nawet dobrze w małym gronie podobnie myślących i wzajemnie utwierdzamy się w „naszym wybraństwie” starając się nie widzieć, że przez nas świat nie

poznał Bożego Dzieła. To, że zawiedliśmy Boga i ludzi nie budzi niepokoju naszych sumień. Prawdą jest, jak chce tego cytowana w mottcie pisarka, że pojawiliśmy się w społeczeństwie, a nie porwaliśmy go do końca. Zabrakło nam wytrwałości w głoszeniu Dzieła i inicjatywy organizacyjnej. Jakże często pozostawialiśmy ludzi samych bez trwania z nimi w ich trudnościach życia. Nie odpowiedzieliśmy na wiele wyzwań, które stawiało życie codzienne. Wyczerpały się dość szybko nasze zapasy apostołskie i szybko też zaczęliśmy osiadać na „laurach” zachłystując się wybraństwem Bożym, a także dokonaniem w minionym. Apostolstwo zmieniliśmy na konserwowanie zaszczytu. Przesadą będzie, może to była licentia poetica pisarki, że za ideą Dzieła Wielkiego Miłosierdzia poszło kilku „wyrzutków”. Jednak z tłumów, które sto lat temu ruszyły za ideą mariawicką, zostały resztki. Nie wszystkie odejścia z tej drogi można usprawiedliwiać prześladowaniami przez złych bliźnich. Wydatnio „staraliśmy się” także przez dziesiątki lat swym postępowaniem zrazić społeczeństwo do Dzieła. Nie lękaliśmy i nie lękamy się w swym postępowaniu Boga, ani nie wykazujemy choćby instynktu samozachowawczego. Nonszalancko obchodzimy się z danym nam przez Boga Skarbem i zarazem „**ostatnim ratunkiem dla ginącego w grzechach świata**”. Nie budzi naszego niepokoju odpowiedzialność przed Bogiem za to, że swymi zaniechaniami w pełnieniu obowiązku nałożonego na nas przez Boga utrudniamy, a może uniemożliwiamy ludziom poznanie Dzieła Miłosierdzia. Także nie zastanawiamy się, jaka na nas spada odpowiedzialność wobec Boga i ludzi. Wydaje się, że odpowiedzialność ta jest dla nas obojętna. Wygaś w nas ogień zapалу apostołskiego. Łękliwie usuwamy się przed ludźmi, gdy ci stawiają nam nieraz słuszne, a często wydumane zarzuty. Każde zainteresowanie z zewnątrz Dziełem przyjmujemy z lękiem i pokornie czekamy, aż to zainteresowanie minie. Gdy tak się stanie, jesteśmy szczęśliwi i w cichości ducha kontynuujemy nasze życie rozpamiętując jedynie dawne mariawickie dokonania. Na wyjście z Dziełem na zewnątrz nie mamy siły. Powstaje pytanie, czy tak być powinno?

Dziś grzeszymy nie tylko zaniechaniem w głoszeniu Dzieła, ale i brakiem wizji. Nie potrafimy, może nie chcemy się zastanowić, co winniśmy czynić dla krzewienia Dzieła Miłosierdzia. To, co było w minionym aktualne i podatne dla ludzkiego ducha, stało się jakby oczywistością. Przetarliśmy pewne ścieżki w drodze do Boga i inni często poszli w te ślady. Nie mamy już monopolu na: szczególne uwielbienie Eucharystii, próby naśladowania życia Maryi, zachłystnięcie się duchem franciszkańskim. Podobnie jest z innymi hasłami mariawickimi. Powstaje wobec tego pytanie co możemy oferować dziś ponad to, co głosiliśmy

wcześniej odwołując się do Objawień Mateczki? Odpowiedź na to pytanie jest istotna, ponieważ brak wizji prowadzi do zagłady idei i organizacji (Przypowieści 29:18). Wydaje się, że w zapomnienie poszło istotne przesłanie z Objawień stwierdzające „ **iż wszystkie cnoty bez miłości są niczym, a wtedy tylko prawdziwie są cnotami , kiedy wypływają z miłości Boga i bliźniego**” (Wyjątki z objawień - akapit 23; *Dzieło Miłosierdzia* s. 43). Ta cnota nie jest praktykowana w społeczności ludzkiej i w naszym środowisku nie jest w pełni realizowana. Zdaję sobie sprawę z faktu, że niezmiernie trudno jest kochać bliźniego szczególnie, gdy wyrządza on nam krzywdy. W życiu ciągle naruszamy ten obowiązek i nawet mówiąc Modlitwę Pańską nie zastanawiamy się nad naszą prośbą, aby odpuszczone były nam nasze winy tak samo, jak my odpuszczamy winy naszym przesiadawcom. Przecież to logiczne, że jeśli my nie odpuścimy win bliźnim, to Bóg nie odpuści nam naszych przewinień. Usprawiedliwienie nasze może nastąpić pod warunkiem wybaczenia przez nas przewin naszym bliźnim. W konsekwencji słowa Modlitwy bez naszego zmiłowania nad bliźnim nie sprowadzą skutku o jaki prosimy.

Nasze życie duchowe często charakteryzuje się formalizmem. Wrogiem człowieka staje się wewnętrzne wypalenie duchowe, brak duchowej głębi. Spełniając nawet adoracyjne obowiązki mariawity czynimy to zbyt często formalnie. Niepodważalne jest twierdzenie, że nie każdy człowiek jest predestynowany do praktykowania głębokiego życia duchowego. Jednak praca nad swym duchem w celu uszlachetniania go jest obowiązkiem każdego mariawity. Stąd konieczność skupienia duchowego w miarę możliwości w każdej możliwej sytuacji, niekoniecznie tylko w kościele. Pracować nad sobą, doskonalić się duchowo i intelektualnie będzie realizacją zaleceń Bożych. Praktykowanie tego stanu jest trudne, ale możliwe dla człowieka.

Wszyscy, którzy cierpią z powodu zastoju w mariawityzmie winni pamiętać, że nic się nie dzieje bez przyczyny a ta, w sytuacji duchowego marazmu, leży w dużej mierze po naszej stronie. Otrząsnąć się z duchowego zastoju można między innymi przez skierowanie się ku dobrym uczynom. Będą one zaświadczać o życiu zgodnym z duchem Ewangelii i objawień Mateczki. Postarajmy się wrócić w trudnych materialnie czasach do bezinteresownych form pomocy potrzebującym. Spróbujmy się pochylić nad nędzą ludzką (materialną i duchową) istniejąca choćby w naszym otoczeniu. Realizujemy na nowo ideę braterstwa ludzi, która legła u podstaw ruchu mariawickiego. Trudno z

góry zakładać sposoby działania. Praktyka życiowa podpowiada, że jest wiele możliwości praktykowania mariawickich zadań. Konkretnie zdarzenia mogą podsuwać nowe sposoby działania wszystkim tym, którzy uznają za konieczne otrząśnięcie się z zastoju ducha. Nasz powrót do bliskości z drugim człowiekiem ma nie być na pokaz, ale stać się rzeczywistym odnalezieniem brata w społeczności ludzkiej. Głoszenie miłości bliźniego z praktykowaniem tej miłości pozwoli nam na bliższy kontakt z Bogiem i na Jego błogosławieństwo dla naszych prac. Będzie to też naszym uwiarygodnieniem się w społeczeństwie. Postawmy sobie za wzór ideał mariawity z okresu prześladowań i starajmy się za nim podążać. Powiedział poeta (Mickiewicz), że kiedy zabraknie ideału sen morzy ludzi. Obudzić może ich tylko ten, kto będzie posiadał przymioty i dar, do których dążymy. Wtedy wiara nie będzie martwa. Warunki wytworzone w świecie, kryzysy w wielu dziedzinach powodują, że świat oczekuje, często w ciszy duchowej (niektórzy twierdzą, że w marazmie duchowym) hasła. Takie oczekiwanie charakteryzowało zawsze przyjdzie nowej epoki. Cytowany tu poeta twierdził, że **„w ostatniej godzinie Męki Zbawiciela taka w przyrodzie nastąpi cisza, że każde uderzenie młota w gwóźdź wbijany do krzyża rozlegało się po otchłaniach piekieł, po wysokości niebios i mogło być wyraźnie słyszane w nieskończoności.”**. Ta cisza przygotowywała ludzi do przyjęcia prawd najwyższych. Wyciszmy ducha odrywając się choćby na chwilę od codzienności. Zerwijmy z marazmem myśli, oderwijmy go od zgiełku świata, wczujmy się w ducha Ewangelii i objawień Mateczki. Nie pytajmy w nieskończoność dlaczego idea mariawicka została zepchnięta na margines życia. Zacznijmy żyć tą ideą na co dzień, a sposoby szerzenia ducha objawień Mateczki ujawnią się siłą faktu. Ilekroć idea przychodzi do realizacji, tworzy wzór dla innych. Nie oglądajmy się wstecz, ponieważ przeszłość - jak pisze poeta - stawia opór Słowu i dlatego jest gotowa do walki przeciw niemu. Działajmy myśląc o przyszłości ponieważ **„żaden nie leje wina młodego w stare statki, bo inaczej wino młode rozsadza statki i wino wycieka, a statki się psują; ale nowe wino ma być lane w statki nowe,”** (Marek 2:22). Nie silmy się na dywagacje teologiczne, tych jest w świecie nadmiar. Pamiętajmy, że Kościół Chrześcijański nie powstał z doktryn teologów, ale wytrysnął on z ran Boga-Człowieka; krew Jego dała mu życie, jak pisał Mickiewicz. Powróćmy do roli synów Bożych pracujących dla ducha bez poklasku tłumy i otoczki pseudonaukowej aureoli. Bądźmy sobą.

brat Jerzy



Co nowego w Zgromadzeniu

Przeszkody złego ducha

Dotychczas w tej rubryce pisaliśmy raczej o osiągnięciach i radosnych faktach związanych z naszą gałęzią Zgromadzenia Mariawitów. Ale dziś chcemy powiadomić czytelników o pewnych przeciwnościach, jakie nas ostatnio spotkały. Zdawaliśmy sobie od początku sprawę, że zainicjowane przez brata Wiesława Urbasa, a kontynuowane przez nas, poszukiwanie nowych dróg w szerzeniu Dzieła Wielkiego Bożego Miłosierdzia oparte na zrozumieniu objawień Mateczki, a nie na podejściu skutecznym sto lat temu, a raczej nie dającym wyników w obecnej sytuacji, może się nie podobać mariawitom-tradycjonalistom, to też nie liczyliśmy na ich współpracę.

Cieszyliśmy się z otrzymanego błogostawieństwa zarówno w Płocku jak i w Felicjanowie pozwalającego na organizację nowej gałęzi Zgromadzenia założonego przez Mateczkę z Woli Bożej w roku 1893. Cieszyliśmy się gdy ówczesny brat biskup naczelny M. Tymoteusz na prowadzonych przez niego kapitułach prosił o sprawozdanie z naszej działalności, cieszyliśmy się gdy brat arcybiskup M. Rafael i siostry biskupki udzielali nam pomocy w kłopotach organizacyjnych.

Radowało nas, kiedy w organizowanych przez nas odczytach w parafiach, lub ogólnomariawickich sympozjach (sesjach, tematycznych rekolekcjach) brali udział nie tylko członkowie Zgromadzenia i kierowanego przez nas Związku Nieustającej Adoracji Ułtągania, ale i inni mariawici, zwłaszcza duchowni.

Bracia proboszczowie, w potrzebach lokalnych, a episkopat w sprawach ogólnokościelnych wiedzieli, że jeżeli się zwrócą do siostry lub brata ze Zgromadzenia o współpracę w takim lub

innym przedsięwzięciu nie spotkają się z odmową. Brałiśmy udział w organizacji tak pięknych trzech sympozjów ekumenicznych z okazji stulecia objawień Dzieła Miłosierdzia. Tymczasem ostatnio pojawił się dziwny fakt, że jednemu z naszych braci, który zaledwie dwa miesiące wcześniej wstąpił do Zgromadzenia, kilku duchownych Starokatolickiego Kościoła Mariawitów nakazało natychmiastowe wystąpienie z niego, a gdy pewien działacz ekumeniczny chciał tegoż brata prosić o przyczynek do publikacji, jeden z braci biskupów powiedział, że jest na niego nałożona kara w postaci zakazu publicznych wypowiedzi. Jeśli za dwa miesiące przynależności do Zgromadzenia nałożono tak ciężką karę, to czemu niżej podpisanego, który należę jawnie do Zgromadzenia od 34 lat, nie powołano dotąd przed sąd kościelny?

W kilku wypadkach ci sami duchowni, którzy publicznie chwalili nasze siostry i naszych braci za udział w kościelnych akcjach i często o pomoc właśnie się do nich zwracali, teraz równie publicznie krytykują nasze Zgromadzenie. Brak konsekwencji.

No cóż - mówimy - nie wiedzą komu służą. Sa wśród nich i uczciwi ludzie. Kiedyś się opamiętają. Przeszkody organizowane przez złego ducha są po to, abyśmy zdobywali doświadczenie i siłę do ich zwalczenia. Naszych przeciwników nie traktujemy jak wrogów, lecz jak nauczycieli zmagających ze złem. Mamy jak dotąd jedno wystąpienie ze Zgromadzenia i jednego członka wahającego się czy nie wystąpić. Jeśli jeszcze kilkoro najłękliwszych wystąpi, to Zgromadzenie nie stanie się słabsze. Inni nie widzą powodu do lęku i traktując poważnie Radę Kościoła i jej obietnicę, oczekują otrzymania obiecanych warunków zawarcia umowy o ścisłą współpracę między Zgromadzeniem a Kościołem Starokatolickim Mariawitów. To co piszę nie jest więc narzekaniem, lecz tylko informacją, o bieżących wydarzeniach.

Drodzy Nasi Przeciwnicy na duchowym ringu, bądźcie szczerzy i napiszcie do nas jakie stawiacie zarzuty Zgromadzeniu. Opublikujemy chętnie co napiszecie. Pozwoli to nam zrozumieć Was, może pozwoli nam coś u siebie poprawić, a i Wam samym pomoże uporządkować swoje przekonania.

brat Paweł

ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

brat Paweł – **Czy ja należę do Boga, czy Bóg do mnie ?-** s. 1

Anton Kimpfler - **Na drodze Chrystusowej** - s. 4

Krzysztof Mazur - **A jednak „sekiarze”...** - s.7

Komentarz Redakcji - s.11

Honorata Korpikiewicz - **Dwa aforyzmy** - s.14

Jan Stalony Dobrzański - **Trzy logiony** - s. 14

Maria Korpikiewicz – **Chcę Tobie, Boże...** – s. 15

brat Jerzy - **Mariawicki rachunek sumienia-** s.25

Z PRZEDSTAWIONYCH NAM PROBLEMÓW:

brat Paweł - **Jeszcze o religii jako o systemie etycznym** - s. 12

POZNAJMY BRATNIE WYZNANIA:

brat Izaak - **Anglikanizm - Kult Bogurodzicy** - s. 16

CO NOWEGO W ZGRMADZENIU:

Brat Paweł - **Przeszkody Złego Ducha** - s.30

PRACA nad sobą – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie, oraz na stronie internetowej www.praca-nad-soba.waw.pl. Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: Konrad M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; redakcja@praca-nad-soba.waw.pl oraz redaktorpracy@interia.pl. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty – 20 zł. Należność należy przysyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,60 zł) podając dokładny adres nadawcy. Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 4 kolejne zeszyty pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 25 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Można też zagraniczną prenumeratę opłacać walutą krajową w redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę zmiany cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.
